

W poszukiwaniu dzia

Otwarcie wystawy „Karaj jołary – Karaïmskie drogi” w Łucku stało się okazją do podjęcia próby odnalezienia miejsc, gdzie przed blisko 80 laty mieszkał Emanuel Nowicki z rodziną.

Mój dziadek po kądzieli, Emanuel Nowicki (1889–1952) był mieszkańcem Wołynia w trzecim pokoleniu. Jego dziad, Eliazar syn Nisana Nowicki (1822–1885) przybył w początkach lat trzydziestych XIX w. z Litwy do Łucka. Tutaj jego syn, Aaron (1865–1915), mój pradziad poślubił w roku 1888 Dorotę z Sułtańskich. Małżonkowie dochowali się sporej gromadki potomstwa. Najstarszym z ośmiorga rodzeństwa był właśnie mój dziadek, a najmłodszym – Szymon (1906–1966), przez całe swe życie zwany Szymonkiem. W tamtych czasach nie wszystkim narodziłym dzieciom udawało się dożyć wieku dorosłego. Pozostałe potomstwo Aarona i Doroty Nowickich, które weszło w wiek dojrzały, to Zofia zwana Sonią (1892–1960), Eugeniusz (1894–1966), Mojsiej (1897–1945) i Michał (1903–1957), dziadek Andrzeja Morawca. W dzieciństwie zmarli Nisan (Aleksander, ur. 1899) i Jakub, brat bliźniak Szymonka.

Bracia Nowiccy: w kapeluszach Michał i Mojsiej, w kaszkiecie – Emanuel. Barankową czapkę ma na głowie ich wujek, Mikołaj Łokszyński (1858-1941), stryjeczny brat Doroty z Sułtańskich.

W kwietniu br. nadarzyła się doskonała okazja, aby odwiedzić miejsca, gdzie niegdyś żyli Przodkowie. Ruszył bowiem projekt pod nazwą *Łuck – miasto wielokulturowe*, organizowany przez Konsulat Generalny RP w Łucku przy współpracy z miejscową Radą Miejską. W jego ramach lokalnej społeczności jako pierwsi mieli zostać zaprezentowani, albo raczej dokonać autoprezentacji, Karaimi. Współorganizatorami wydarzenia byli Związek Karaimów Polskich i Fundacja Karaïmskie Dziedzictwo. Najlepszym sposobem na opowiedzenie i pokazanie historii Karaimów i ich obecności w Łucku i innych miejscowościach w Rzeczypospolitej do roku 1945 jest prezentacja wystawy „Karaj Jołary - Karaïmskie Drogi. Karaimi w dawnej fotografii”. I tak na zaproszenie Konsulatu RP udaliśmy się 6-osobową grupą do Łucka, aby wystawę na Ukrainę zawieźć i uroczystie otworzyć. Oczywiście, możliwość dokładniejszego zwiedzenia miasta i okolic, w których przez wieki zamieszkiwali Karaimi, była okazją nie do przegapienia.

Z Warszawy do Łucka jest niewiele ponad czterysta kilometrów, a więc mniej niż wynosi odległość ze stolicy do Trok. Mentalnie dystans ten jest jednak znacznie większy, jako że dotarcie na Wołyn nie jest tak proste jak na Wileńszczyznę. Do sforsowania jest bowiem granica strefy Schengen, na której w zasadzie zawsze stoją wielogodzinne kolejki, szczególnie w kierunku z Ukrainy do Polski. Na szczęście konsul zaopatrzył nas w giejt adresowany do służb granicznych, celnych i policyjnych, z prośbą o ułatwienie przejazdu.

W niedzielne południe 10 kwietnia we trzech, z Andrzejem Morawcem i Olkiem Kobeckim sprawnie ładujemy w Pruszkowie elementy wystawy do andrzejowego busa, a następnie jedziemy na Dworzec Centralny w Warszawie. Tam dosiada się Ania Sulimowicz, a także, wprost z pociągów z Wrocławia i Krakowa, Mariola Abkowicz oraz Michał Németh. Wycieczka



Archiwum autora

dkowych młynów

w komplecie. Ruszamy zatem w drogę i praktycznie bez postoju docieramy na przejście graniczne w Dorohusku. Tam niespodzianka. Na wjazd na Ukrainę w niedzielne popołudnie nie ma kolejki, choć w przeciwną stronę ciągną się kilometry samochodów. Niezbyt długie formalności graniczne i celne, w których pomagają okazany glejt, i wjeżdżamy na Ukrainę. Za Kowlem droga, zgodnie z wcześniejszym ostrzeżeniem mailowym z Konsulatu, jest w fatalnym stanie. Dziury w nawierzchni mogą być zagrożeniem nawet dla tak wysoko zawieszzonego auta jak nasz bus. Niemniej do hotelu Ukraina, położonego przy głównym placu Łucka, docieramy bez problemów tuż po godzinie osiemnastej.

Tam pierwsze spotkanie z panią wicekonsul Elżbietą Zielińską, trzecim sekretarzem placówki, i rozpoczynamy poszukiwanie miejsca na zasłużony posiłek. Ładujemy w lokalu o ciekawym wystroju i smacznej kuchni, choć na podanie napojów czekamy ponad trzy kwadranse, a na jedzenie – drugie tyle. Mimo to wieczór upływa miło, wesoło i interesująco, gdyż pani Ela, która w międzyczasie dołączyła do biesiady, zasypanych pytaniami, zaspokaja naszą ciekawość dotyczącą lokalnych spraw.

Następnego dnia rano w programie mamy spotkanie z merem Łucka. W towarzystwie pani wicekonsul udajemy się do siedziby Rady Miasta, gdzie czeka na nas jej przewodniczący Mykoła Romaniuk w asyście czworga współpracowników, w tym szefowej Wydziału Kultury oraz Naczelnika Wydziału Ochrony Dziedzictwa Kulturowego. Podczas spotkania mówimy m.in. o historycznej obecności Karaimów w Łucku, gminie, która niegdyś liczyła ponad 200 osób, zniszczonej kienesie i zlikwidowanym cmentarzu. W efekcie otrzymujemy zapewnienie, że władze miasta podejmą starania, aby karaimska przeszłość nie poszła całkowicie w zapomnienie. W miejscach, gdzie stała kienesia i gdzie znajdowały się karaimskie cmentarze (stary i nowy, założony w połowie XIX w.), obiecano umieścić tablice pamiątkowe.

Około południa w centrum miasta, w galerii sztuki, gdzie swoją siedzibę ma również Wołyńska Organizacja Związku Narodowych Artystów Ukrainy, rozpoczynamy montaż elementów wystawy. Jest nas sześcioro, a kierownik galerii nie ingeruje w prace, udaje się zatem w niecałe



Fot. Adam J. Dubiński

Nasza grupa została życzliwie przyjęta przez wódcę miasta, który obiecał pomóc upamiętnić historyczną obecność Karaimów w Łucku.

trzy godziny złożyć i zamocować na odpowiednich miejscach ekspozycyjnych wszystkie plansze. Wystawa gotowa na wernisaż przewidziany na dzień następny.

Gdy Mariola Abkowicz udaje się na umówiony wywiad dla telewizji, my, czyli pozostali uczestnicy wyprawy, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku ruszamy na ulicę Karaimską, gdzie niegdyś toczyło się życie społeczności, gdzie żyli nasi przodkowie. Zaczynamy od spaceru po moście Gnidawskim i rzucenia okiem na płynący pod nim Styr. Na wysokim brzegu rzeki stały karaimskie domy i kienesy. Dziś widok zasłaniają rozrośnięte wierzby, zza których dojrzeć można jedynie szczyty krytych nowoczesną dachówką budynków. Wchodzimy w ulicę Karaimską. Od mojej wizyty w tym miejscu w roku 2002 wiele się zmieniło. Powstały nowe domy, stare przebudowano i ogrodzono, jak np. dom Robaczewskich, w którym trudno dopatrzeć się śladów tego, który jeszcze 14 lat temu wyglądał inaczej, choć też zupełnie nie tak, jak na przedwojennych fotografiach. Wzniesiony tuż przed wybuchem wojny dom gminny z czerwonej cegły otynkowany na żółto, wymieniono okna

na górnej kondygnacji, dostawiono niskie ogrodzenie. Po kienesie nie ma oczywiście śladu. Drewniany dom modlitwy stał przy ulicy Karaimskiej pod numerem 24 do 1972 roku, kiedy to doszczętnie strawił go pożar. Na jego miejscu stoi dziś nowoczesna willa otoczona solidnym ogrodzeniem.

Jak dowiadujemy się z zamieszczonego w poprzednim numerze „Awazymyz” tekstu Ani Sulimowicz, większość Karaimów na Wołyniu żyła i pracowała poza Łuckiem, w okolicznych wsiach i miasteczkach. Tak też było z moim dziadkiem, Emanuelem Nowickim, niemniej jego matka i bracia mieszkali w mieście, przy ulicy Karaimskiej 30 nieopodal domu gminnego. Dom Nowickich stoi do dziś. Mocno zmieniony od czasu, gdy stanęliśmy przed nim z bratem Romkiem podczas naszego pobytu w Łucku w roku 2002¹, i niemal całkiem już niepodobny do tego z fotografii z lat trzydziestych XX w. Czternaście lat temu udało się nam go zidentyfikować po... ceglach – kilka w górnej części szczytowej ściany domu odróżniało się odcieniem od pozostałych. Widać je wyraźnie na przedwojennej czarno-białej fotografii i dostrzegliśmy to też w 2002 r. Dziś taka identyfikacja byłaby o wiele trudniejsza, o ile w ogóle możliwa, gdyż wysoki mur sąsiedniej posesji uniemożliwia spojrzenie pod odpowiednim kątem od strony mostu Gnidawskiego na szczyt domu pod numerem 30.

Tak przed wojną
wyglądała ulica Karaimska
i dom Nowickich pod
numerem 30.



Archiwum autora

Pradziadek Aaron zmarł w czasie pierwszej wojny światowej. Jego córka Sonia w 1929 r. poślubiła halickiego Karaima, Szymona Eszwowicza, i osiadła w rodzinnym mieście męża, gdzie w 1930 r. przyszedł na świat ich jedyny syn, Eugeniusz, który z kolei wybrał sobie na żonę Karaimkę z Krymu, ale pochodzącą z rodziny o trockich korzeniach, Aleksandrę Dubińską, i przyjął jej nazwisko. Z tego związku urodziło się troje dzieci: Tamara, Larisa i Jurij. Najstarsza Tamara wyszła za mąż za Karaima ze... Sztambułu. Ot, takie karaimskie transgminne i transgraniczne koligacje.

Ale wróćmy do Nowickich. Mój dziadek, Emanuel, też szybko opuścił rodzinny dom w Łucku. Ożeniwszy się w roku 1922 z Sabiną Abrahamowicz (1899–1974) z Halicza, mieszkał kolejno w kilku miejscowościach pod Łuckiem, gdzie dzierżawił lub był współwłaścicielem młynów. W domu przy ulicy Karaimskiej pozostała Dorota z synami: Mojsiejem, starym kawalerem, Michałem, urzędnikiem starostwa, żonaty z Sabiną z Eszwowiczów (1910–2007) z Halicza, ojcem Haliny (1931–1994), późniejszej Morawiec. Kolejny syn Doroty, Eugeniusz jeszcze przed pierwszą wojną światową, jako nastolatek, wyjechał za chlebem do Warszawy, gdzie się ożenił z wdową po właścicielu sklepu tytoniowego² i w stolicy spędził resztę życia. Często gościem u niego był najmłodszy z braci, Szymonek, który w Warszawie znajdował czasowe zatrudnienie, a po drugiej wojnie światowej, zapewne nie bez związku z doświadczeniem nabytym też w podluckich młynach najstarszego brata, został pracownikiem Polskich Zakładów Zbożowych.

Dom Nowickich jest parterowy, lecz obszerny, z powojennymi dostawkami i dobudówkami. Obecnie podzielony prawdopodobnie na kilka niezależnych mieszkań, o czym świadczy numer 30/6 na skrzynce pocztowej przy jednym z wejść. Obejście od strony drugiego szczytu i tylnej fasady w tzw. Zaułku woła o pomoc do nieba. Śmieci, brud, porozrywana siatka. Widać, że mieszkańcom od lat to nie przeszkadza. Nie tak tu było za czasów Nowickich, do chwili, gdy przyszło im opuścić dom w 1945 roku. Wtedy, w ramach tzw. repatriacji³, wyjechali stąd moi dziadkowie z córkami – najstarszą Anną (Anusią), moją mamą, i najmłodszą Amalią (Lusią). Syn Józek był wtedy jeszcze w wojsku. Wraz z nimi opuściła Łuck obłożnie już chora staruszka Dorota. Mojsiej i Szymonek zostali w czasie wojny przez Niemców wywiezieni z Łucka do pracy przymusowej w głąb Rzeszy. Tam w roku 1945 Mojsiej zginął



Żona młynarza Emanuela Nowickiego, Sabina z Abrahamowiczów z dziećmi: Anną (później Dubińską), Amalią (później Rudkowską) i Józefem.

od alianckiej bomby w schronie przeciwlotniczym, a jego młodszy brat cudem ocalał.

Dorota zmarła w Opolu w 1947 r. i tam została pochowana, a po likwidacji tamtejszego cmentarza w 2002 r. jej szczątki zostały przeniesione na warszawski Cmentarz Karaimski. Wywodziła się ze znanego rodu karaimskich uczonych i hazzanów. Jej pradziadem był Mordechaj syn Józefa Sułtański (1773–1863), teolog, historyk, autor gramatyki języka hebrajskiego i nauczyciel uczonego, archeologa Abrahama Firkowicza, Hadży Baby. Mordechaj Sułtański w latach dwudziestych XIX w. wyjechał z Łucka na Krym, gdzie był hazzanem w Dżuft Kale oraz w Eupatorii. Jego syn Izaak zainicjował budowę kienesy w Symferopolu, gdzie następnie przez wiele lat był hazzanem, a syn Izaaka i wnuk Mordechaja, Józef Sułtański pełnił posługę hazzanśką w Kijowie⁴.

W 2002 roku, podczas samochodowej podróży śladami przodków przez Łuck na Krym, próbowaliśmy odnaleźć jeden z młynów dziadka Emanuela Nowickiego, ten w Nieświczu nieopodal Łucka. Wtedy czasu było mało, wiejskie drogi błotniste i dla samochodu osobowego nieprzejezdne, więc przedsięwzięcie to zostało odłożone na bliżej nieokreśloną przyszłość. Teraz, zatrzymawszy się w Łucku na więcej niż dzień i mając do dyspozycji odpowiedni pojazd, jakże nie podając tej próby ponownie!

We wtorkowy poranek, nie zważając na trudy poprzedniej nocy, kiedy to nasza grupa była niezwykle gościnnie podejmowana przez pana konsula Krzysztofa Sawickiego wraz ze współpracownikami, wyruszamy do oddalonego o 20 kilometrów Nieświcza. Z drogi Łuck – Lwów skręcamy w prawo zgodnie z kierunkowskazem na „sioło Nieświcz”, mijamy rzeczkę Połonkę i dojeżdżamy do pierwszych zabudowań rozciągniętej osady. Zagadnięta o przedwojenny młyn starsza kobieta jest miła i chętna do pomocy, ale „zbyt młoda”, by pamiętać tak odległe czasy. Rzeczywiście, jednak od czasu, gdy „nasi” opuścili te tereny, minęło prawie 80 lat. Jedziemy zatem dalej w osadę i stajemy przy pięknej drewnianej cerkiewce z XVIII wieku. Rozchodzimy się w różne strony w poszukiwaniu „języka”.

Nieopodal widzę panią w średnim wieku rozmawiającą ze starszą kobietą w chustce. Jednak zanim zdążę podejść bliżej, panie się rozchodzą i zostaje tylko ta młodsza. Chętna do rozmowy o starych czasach okazuje się być miejscową bibliotekarką. Potwierdza, że w Nieświczu przed wojną była czeska kolonia, a ja pamiętam z opowiadań mamy, że mieli m.in. Czechów za sąsiadów. Opowiada, że mieszkali tu Polacy i Ukraińcy, ale o młynie, a już tym bardziej o Karaimach, nic nie wie. Radzi jednak, by pojechać do najstarszej mieszkanki Nieświ-



Fot. Adam J. Dubiński

Olga Anatoliewna Bajbuła z wnukiem, nauczycielem w miejscowej szkole.

Gdzieś tu był nieświcki młyn. Dziś tylko przepust w zwężeniu rzeczki wskazuje na jego istnienie.

Olga Anatoliewna Bajbuła może coś na ten temat wiedzieć. Pani bibliotekarka do mało-mównych nie należy i długo tłumaczy mi, gdzie mieszka Olga Anatoliewna, przy okazji opowiadając kawałek jej i swojego życia. Gdy docieram do reszty grupy, okazuje się, że tu też jest jakieś światółko w tunelu. Starszy mężczyzna poradził, aby udać się do pobliskiej szkoły, do miejscowego nauczyciela historii, który zajmuje się dziejami regionu. Nauczyciel okazuje się być... wnukiem poleconej mi Olgi Anatoliewny. A więc wydaje się, że jesteśmy na dobrym tropie.



Fot. Adam J. Dubiński

Młody nauczyciel jest tak miły, że wsiada z nami do samochodu i razem jedziemy do domu, w którym mieszka jego babcia. Tam cała nasza szóstka zostaje serdecznie przyjęta przez gospodarzy i zaproszona na pokoje. Rozmawiamy z Olgą Anatoliewną, rocznik 1929, o dawnych czasach. Początkowo starsza pani zaprzecza, aby w Nieświczu był kiedykolwiek młyn. Owszem, była czeska kolonia, owszem, byli Polacy i Ukraińcy, był kościół katolicki, ale o młynie i Karaimach nic nie wie. Niemniej po dłuższej rozmowie, gdzieś przy opowieści, jak to przed wojną do polskiej szkoły chodziła, Olga Anatoliewna przypomina sobie, że w Nieświczu młyna nie było, ale był za osadą, po drugiej stronie dużego zbiornika wodnego, przy drodze na Czaruków. Bingo! Pamiętam, że w opowiadaniach mamy i jej młodszej siostry Lusi przewijał się Czaruków niedaleko młyna w Nieświczu. Starsza pani tłumaczy wnukowi, jak dojechać do miejsca, o którym mówi. Żegnamy się serdecznie i wraz z naszym przewodnikiem ruszamy przez okoliczne pola.

Tylko dzięki wysoko zawieszonemu busowi Andrzeja można przejechać przez głębokie koleiny polnej drogi. Zwykły samochód osobowy nie ma tu szans, nawet gdy grunt nie jest rozmokły, jedynie furmanka, traktor lub nasz bus. Teren pofałdowany, jedziemy za osadę wśród pól uprawnych, które powoli przechodzą w zaśmiecony ugor. Nasz przewodnik wskazuje, że to właśnie tu. Miejsce wygląda na nielegalne wysypisko odpadów budowlanych. Kilka kroków w lewo i stajemy na zarośniętych groblach między kilkoma mniejszymi i większymi stawami, dalej duży zbiornik wodny, rozlewisko rzeczki Połonki. Co najważniejsze, na tym pofalowanym terenie jest spora różnica poziomu między dwoma najbliższymi zbiornikami. Woda wartko przelewa się przez przepust pod groblą ukształtowaną ręką człowieka. To musiało być tutaj! Idealne miejsce na młyn wodny. Obchodzimy najbliższe groble. Nigdzie śladu pozostałości zabudowań. Po drewnianym młynie nie zostało nic. Żadnych artefaktów, śladów osadnictwa. Zarośnięte, zapuszczone stawy. Zaśmiecione pagórki. Jednak trudno nie myśleć ze wzruszeniem, że tutaj Emanuel Nowicki, mój dziadek, a stojącego obok Michała Németha pradziadek, dzierżawił w drugiej połowie lat trzydziestych młyn. Tutaj ciężko pracował. Tutaj stracił dwa palce podczas próby uruchomienia mechanizmu zacinającej się przekładni. Tutaj wreszcie częściowo dorastała moja mama. W czasie roku szkolnego wraz z młodszym o rok bratem Józkiem mieszkali u swej surowej, jak

wspominała mama, babci Doroty, w domu Nowickich przy ulicy Karaimskiej w Łucku. Na lato i dni wolne od nauki wracali do rodziców, do domu i młyna w Nieświczu. Nie inaczej było, gdy w początkowych dniach wojny, uciekając z bombardowanego Łucka, dobrnęli tu, pokonując 20 km piechotą. Tutaj rodzina przeżywała wiele chwil grozy przez całą wojnę. Raz było bezpieczniej w Nieświczu, innym razem uciekali przed zagrożeniem życia ze strony banderowców do Łucka.

Dziadek wcześniej pracował w innych młynach. Zaczynał, prawdopodobnie wraz z karaimską rodziną Gołubów, w Czeknie nieopodal Jarosławicz, 20 km na południowy wschód od Łucka. Tam przywiózł swą świeżo poślubioną żonę, Sabinę z Abrahamowiczów z Halicza. I tam właśnie 9 stycznia 1923 r. przyszła na świat moja Mama, a rok później jej brat. Co prawda, w dokumentach miała zapisane, że miejscem jej urodzenia był Łuck i to miasto zawsze wspominała z rozrzewnieniem, lecz po wojnie nigdy już nie chciała doń pojechać, by zachować w pamięci niezmieniony obraz „kraju lat dziecińczych”. Zapewne słusznie.

Nastrój zadumy przerywają pierwsze oznaki zbliżającej się wiosennej burzy. Czas wracać. Do Łucka jedziemy w ulewnych strugach deszczu. Czyżby niebiosom też udzieliła się nasza melancholia?

Po południu otwarcie wystawy „Karaj Jołłary - Karaimskie Drogi. Karaimi w dawnej fotografii”. Galeria sztuki przy miejskim deptaku pęka w szwach. Duże zainteresowanie zarówno ze strony mieszkańców Łucka, jak i miejscowej prasy, są też kamery. Honorowym gościem jest pan Józef Eszwowicz z żoną, jedyny Karaim mieszkający obecnie w Łucku. Z kilkusetletniej obecności Karaimów na Wołyniu, z ponad dwuosobowej w połowie XIX wieku gminy pozostał tylko on. Dobrze chociaż, że możemy utrwalać tę przeszłość w pamięci własnej i członków społeczności nas otaczających.

Trwa inauguracja projektu *Łuck – miasto wielokulturowe* oraz wernisaż Wystawy. Głos zabierają kolejno przedstawiciele Konsulatu RP, Rady Miejskiej, a w końcu prelegenci: autorki wystawy Mariola Abkowicz i Anna Sulimowicz oraz dr Michał Németh. Po wernisażu, na późniejsze popołudnie zaplanowana jest wycieczka po mieście karaimskimi śladami. Przewodnikami jest dwoje młodych ludzi: znawczynie historii Łucka Oksana Szańko, która w archiwalnych kwereńdach na temat dziejów miasta odnalazła też wzmianki o Karaimach, oraz zastalony badacz-amator, krajoznawca Oleksandr



Fot. Adam J. Dubiński

Kotys. Ponad dwudziestoosobowa grupa zbiera się przy Moście Brackim, następnie przechodzimy na Rynek. Słuchamy zacerpniętych z oryginalnych dokumentów z XVI i XVII w. opowieści, w których występują Karaimi. Oczywiście, na szlaku wycieczki nie może zabraknąć ulicy Karaimskiej. Stajemy zatem znowu przed dawnym domem gminnym, w którym w okresie międzywojennym mieszkali hazzanowie Rafał Abkowicz i jego następca, Józef Łobanos z rodzinami. Po prawej stronie willa postawiona na miejscu spalonej kienesy, po lewej – zaułek na tyłach domu Nowickich. Przewodnicy opowiadają o Karaimach w Łucku, a my uszczegóławiamy i dopowiadamy. Wycieczka kończy się na placu pod murami Zamku Lubarta, którego wieże są symbolem Łucka.

Nazajutrz, tuż przed wyruszeniem w drogę powrotną do Polski, wyprawiamy się na jeszcze jedno poszukiwanie dziadkowych młynów. Po drodze, przed wyjazdem z miasta dawnym Traktem Dubieńskim stajemy na tyłach współczesnego czteropiętrowego budynku mieszkalnego przy obecnym Prospekcje Woli 54. Gdzieś tu, w miejscu, gdzie dziś rosną kilkunastoletnie drzewa, znajdował się cmentarz karaimski. Służył miejscowej gminie przez sto lat – założono go w połowie XIX w. w podłuckiej osadzie Wólka, gdy jeszcze starszy, którego początki ginęły w pomroce dziejów, został ukazem władz zlikwidowany. A dziś po obu nie ma już śladu.

Dziś tam, gdzie była kienesy, stoi okazała willa otoczona ogrodem. Miejmy nadzieję, że jej właściciele zgodzą się, by na ogrodzeniu zawisła pamiątkowa tablica.

Znane i nieznanne

karaimskie siedliska



Archiwum autora

W Ledóchówce przed domem: Emanuel i Sabina Nowiccy z córkami Anną i Amalią oraz Sabina żona Michała Nowickiego z psem Bobikiem.

Zniknęły mogiły naszych przodków. Oby mogła tu przynajmniej zawisnąć tablica pamiątkowa, o której rozmawialiśmy na poniedziałkowym spotkaniu z władzami miasta!

Wprawdzie z przekazu rodzinnego nie pamiętam, aby we wspomnieniach pojawiał się jakiś młyn dziadka Emanuela zlokalizowany we wsi Świszczów, ale w dokumentach są o tym wzmianki. Ruszamy zatem na południowy wschód, w stronę Dubna. Po 20 kilometrach skręcamy w lewo, w brukowaną drogę między pola i po kolejnych trzech kilometrach dojeżd-

Na podwórku przy młynie w Ledóchówce.



Archiwum ZKP

zamy do zabudowań wiejskich w Świszczowie. Na jednym z podwórek krząta się kilka osób, w tym dwoje mocno starszych. Podchodzę, pytam o miejscowy młyn. Zarówno młodsza kobieta, jak i starszycy zaprzeczają, aby we wsi lub w okolicy był kiedykolwiek młyn. Nauuczony poprzednim doświadczeniem, nie rezygnuję i dopytuję dalej. Wspominają, że jadąc dalej, drogą przez pola, we wsi, której nazwa nic mi nie mówi, był wiatrak. No tak, ale dziadek Emanuel Nowicki mełł zboże na mąkę we młynie, nie w wiatraku. To wiem na pewno. Znów pytam o młyny w okolicy. Moja rozmówczyni mówi po ukraińsku szybko i dosyć niewyraźnie, więc niektóre słowa są niezrozumiałe, ale kilkakrotnie powtarza coś o jakiejś nowej Ukraince, co zupełnie nie pasuje mi do kontekstu rozmowy. I nagle pada nazwa *Lidohouka*. I znowu olśnienie! Tak, dziadek miał (lub arendował) młyn motorowy w Ledóchówce. Okazuje się, że dawna Ledóchówka nosi teraz nazwę Nowoukrainka i – według słów mojej rozmówczyni – młyn stoi tam do dziś obok dużej firmy mieszczącej się w pomalowanych na zielono zabudowaniach.

Wracamy zatem na główną szosę. Trzy kilometry dalej w stronę Dubna, wzdłuż drogi rozciąga się Nowoukrainka. Znajdujemy zielone, ogrodzone zabudowania i niecierpliwie pytamy młodych ludzi z ochrony firmy o młyn. Nie ma tu żadnego młyna – sprowadzają nas na ziemię. Na szczęście w tym momencie pojawia się mężczyzna w średnim wieku, który zagadnięty o to samo, wskazuje na murowany budynek gospodarczy jakieś 100 metrów dalej. Na młyn to zupełnie nie wygląda, ale podjeżdżamy, aby się upewnić. Obok opuszczonego budynku dostrzegamy wystające z trawy ogromne, półtora-metrowe koło z kamienia obramowanego drewnem. Ewidentnie dawne koło młyńskie! Kilkanaście metrów dalej leży następne, a w rumowisku jeszcze dwa. Tak, to tutaj! Nie ma wątpliwości – znaleźliśmy pozostałości po młynie dziadka Emanuela! Jeszcze widać resztki podpiwniczenia z chaosem zwalonych desek i belek. Przekrzywione betonowe koło częściowo przebiło się do piwnicy i utknęło wśród ceglano-gruzu. To drugie, kamienne, przywalone jest spróchniałymi resztkami desek. Jeszcze sterczą dwie ostatnie pionowe belki, na których niegdyś wspierała się konstrukcja. Rujnacja jest pełna i całość ledwo co wystaje z poziomu ziemi. Nic dziwnego, że z daleka nie zauważyliśmy tych pozostałości po młynie dziadka.

Ostrożnie stąpamy po czymś, co było ongiś podłogą i grozi zawaleniem się do części piw-



Dziś w zwałisku zmurszałych belek jaśnieje koło młyńskie – to wszystko, co zostało z młyna w Ledóchówce. Ale dobrze, że choć tyle udało się nam jeszcze zobaczyć.

nicznej. I znów chwila zadumy nad przemijającym czasem. Gdzieś na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku małżonkowie Emanuel i Sabina Nowiccy przenieśli się prawdopodobnie z Czekna właśnie tutaj, do Ledóchówki. Tu dziadek był już samodzielnym gospodarzem w motorowym młynie. Stają mi przed oczami rodzinne zdjęcia. Biały domek, przed którym stoją dziadkowie i moja mama z rodzeństwem. I brat dziadka, Michał Nowicki z żoną Sabina, i Alina Robaczewska z synem Eugeniuszem, którzy przyjechali w goście. I uwieczniony na fotografii pies Bobik. Biały z czarnymi symetrycznymi łatami na głowie. Trudno nie ulec wzruszeniu. Trudno nie myśleć o przemijaniu.

Nieopodal mieszkalny dom z czerwonej cegły z wyraźnie widoczną datą 1926 i łacińskimi inicjałami J.M. Kobieta krzątająca się po przydomowym ogrodzie cały czas ukradkiem na nas spogląda. W końcu decyduje się podejść. Nawiązujemy rozmowę. Okazuje się, że jeszcze dwa lata temu budynek młyna stał. Pobliska „zielona” firma planuje wybudować tu fermę kurzą. Zaczęto więc młyn rozbierać, a właściwie zwalono go i rozwleczono. Potem wszystko stało i tak jest do dziś. Co będzie dalej, nie wiadomo. Nie mamy jednak wątpliwości, że przy naszej następnej wizycie nie zastaniemy tu już niczego, a miejsca, gdzie stał młyn, w którym

pracował dziadek Emanuel, i dom, w którym mieszkał z rodziną, nie da się już zlokalizować. Pozostaje więc tylko ta odrobina gorzkiej satysfakcji, że zdążyliśmy odnaleźć i zobaczyć te ruiny, dotknąć młyńskich kół, unieść ze sobą pamiątki: fragment zakrzywionej drewnianej obudowy koła, odłamek kamienia z wiodącej do młyna drogi...

Kończy się nasz pobyt na Wołyniu. Ruszamy w drogę powrotną. Ostatni przejazd przez Łuck. Na granicy ogromna kolejka, ale zaopatrzeni w glejt z Konsulatu przemy do przodu lewym pasem, omijając setki samochodów osobowych i ciężarowych. Magiczny dokument ułatwia nam sprawny przejazd przez posterunki ukraińskie. Przeciskamy się pod polskie szlabany i wkrótce mkniemy w stronę Warszawy, by Mariola z Michałem zdążyli na wieczorne pociągi do Wrocławia i Krakowa.

Adam J. Dubiński

Przypisy:

¹ Por. R. Dubiński, *Przeżyłem Krym...*, „Awazymyz”, 2002, nr 1 (6).

<http://www.awazymyz.karaimi.org/zeszyty/item/98-przezylem-krym>. Dostęp 17.06.2016 r.

² Więcej o przypominających losy Wokulskiego z *Lalki* B. Prusa dziejach życia Eugeniusza Nowickiego zob.: A. Dubiński, *Karaimi i ich cmentarz w Warszawie*, w: *Karaimi*, red. B. Machulski-Telus, Warszawa 2012, s. 157, 167, 170-171.

³ O przesiedleniu Karaimów z Łucka w roku 1945 zob. A. Dubińska, *Garść danych o Karaimach z Łucka*, „Awazymyz”, 1999, nr 2 (3), s. 9-10.

⁴ O rodzie Sultańskich pisała A. Sulimowicz, *Rodziny Bezikowiczów i Sultańskich*, „Awazymyz”, 2009, nr 2 (23), s. 18.